



## SPRAWY I SPRAWKI PRAWNIKÓW TRYBUNAŁU

Halina Kosienkowa  
str. 11



Miał jedenaście lat, kiedy w styczniu 1939 roku uciekł z domu. Zwiedził pół świata. Raz był pod wozem, raz na wozie. Swoją niecodzienną relację spisał w grubym zeszycie. Druk tego niezwyklego pamiętnika pióra Jana F. rozpoczynamy dziś na ostatniej stronie „Kamienia”.

# KAMIEŃ

ROK ZAŁOŻENIA 1933

LUBLIN 9 II 1975 Nr 3 (567)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

# NA WALE POMORSKIM PRZED 30 LATY

Alojzy Sroga

Dwaj moi bliscy koledzy po piórze napisali na ten temat dwa opasłe tomiska: Jerzy Korczak „Klucz do Berlina” i Zbigniew Flisowski „Pomorze — reportaż z pola walki”. Ja zaś mogę legitymować się tylko cienką książeczką z tej materii, wydaną przed kilkunastoma laty — „Na dawnych okopach”. Nie i osobistym udziałem w walkach. Także ustawicznym grzebaniem się w dokumentach archiwalnych i ludzkiej pamięci.

Zdaję sobie sprawę z trudności pisania o Wale Pomorskim, choćby z racji istnienia tych dwóch wielkich książek. Ja mam syntezę tej gigant bitwy pomieścić na kilku stronach masywnego... I jeszcze dołączyć ciekawą anegdotę i wspomnieć o swoich osobistych doznaniach. Ogromnie to trudne. Może budzić tysiące zastrzeżeń ze strony historyków i uczestników bitwy. Mam pełną tego świadomość. Może właśnie dlatego warto zacząć od faktów najprostszyc, a nie zawsze uwypuklonych.

**W**AL Pomorski, ów łańcuch stalowo-betonowych umocnień, umiejętnie wkomponowanych w system lasów, jezior, rzek, przesmyków między przeszkodami wodnymi, budowano od roku 1934. Był on jakby młodszym bratem linii Zygryda; a starszym — Wału Atlantyckiego. To stąd, z rejonu Wału Pomorskiego, „Pommernstellung” — wyszły pancerne uderzenia na Polskę w roku 1939. Rozbudowano i wzmacniano Wal pospiesznie w roku 1944, gdy stało się dla hitlerowców jasne, że

wojna nie zatrzyma się na Dnieprze, Bugu czy Wiśle. Ciągnął się na południu naszego województwa kosałińskiego, przez trzy powiaty: złotowski, szczeciński i walecki.

To teraz dokonałem ważnych i dla siebie dwóch „odkryć”. Kilka ostatnich urlopów spędzałem w miejscowości Jastrowie, o którą toczył się trzydniowy zaciekle bój w pierwszych dniach lutego 1945. Któregoś urlopowego dnia wybrałem

Dokończenie na str. 9

KLUB STAREJ FOTOGRAFII ◆ KLUB STAREJ FOTOGRAFII ◆



Publikacją fotografii z przełomu XIX i XX wieku otwieramy przy „Kamieniu” Klub Starej Fotografii. Zachęcamy do wstępowania. Obowiązuje tylko jeden warunek: nadsyłania pod adresem redakcji zdjęć, które powstały do 1930 roku włącznie. Będziemy je regularnie zamieszczać na łamach pisma, podając na życzenie właścicieli — notę biograficzną posiadacza, ewentualnie jego adres, co ułatwi kontakty członków Klubu. Po wykorzystaniu zapewniamy zwrot fotografii. Jeśli działalność Klubu nabierze rozmachu, jeśli okaże się, że propozycja nasza trafia w oczekiwania kolekcjonerów i autorów, pomyślimy o bardziej konkretnych formach wzajemnych kontaktów, może o okresowych spotkaniach i almanachu. Wszystko zależy od reakcji czytelników — sympatyków starej fotografii — na naszą propozycję. Prosimy o zwrócenie uwagi na fakt, że polecanym właśnie sposobem możemy wspólnie uchronić od zniszczenia czy zapomnienia dużo istotnej informacji o świecie, który minął, o ludziach, którzy decydowali o kształcie historii lub po prostu żyli sobie z dnia na dzień. Możemy także wydobyć sporo autentycznych dzieł sztuki fotograficznej, poszerzyć wiedzę o dziejach fotografii. Prosimy przecież o przykroczenie oczu na artystyczny poziom zdjęć.

Do klubu zapraszamy wszystkich, bez względu na miejsce zamieszkania, wiek etc., którzy posiadają fotografie powstałe do 1930 roku włącznie.

KLUB STAREJ FOTOGRAFII ◆ KLUB STAREJ FOTOGRAFII ◆

# GARMONDEM

## PRAWDZIWE? NIEPRAWDZIWE?

**J**EST w Bilgoraju Włosiankarska Spółdzielnia Pracy. Ma własny Zespół Pieśni i Tańca, pięknie, bardzo pięknie ubrany w stroje za około 800 tys. zł. Fikali sobie spółdzielcy, śpiewali wysoko i grali — po swojemu, po bilgorajsku. Teraz, gdyby chcieli wystąpić, musieliby włożyć stare lachy, albo co tam kto ma na sobie cywilnego. Bajka to może, nieprawdziwe pisanie?

W Końskowoli istnieje drugi taki zespół, który wybierał się do Bułgarii. Dobry wujek i opiekun z Lublina, któremu na imię Wojewódzki Związek Spółdzielczości Pracy, poprosił, aby koleżankom i kolegom wypożyczyć te piękne stroje na te nadczarnomorskie występy. Pożyczono, ale — jak się okazuje — na wieczne oddanie. To nic, że były tak wysokie poręczenia, nie też, że ubiory te są ściśle związane z folklorem bilgorajskim, a wcale nie pasują do końskowolskiego. Nie pomagają interwencje wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki, ani władz powiatowych, bo złamanie umowy popiera dobry wujek z Lublina.

W ostatnim piśmie bilgorajscy spółdzielcy przeczytali znowu twarde: nie! A owe pogwałcenie dobrych obyczajów podpisał sam prezes WZSP. Ej! Ktoś tu będzie się musiał rumienić za ten wykręt as!

JAS

## KODEKS TAK, ALE...

**O**D 1 stycznia obowiązuje pierwszy w historii naszego kraju Kodeks Pracy. Reguluje on precyzyjnie najważniejszą dziedzinę naszego życia społecznego — prawa i obowiązki wynikające ze stosunku pracy.

Praca daje prawa, ale można z nich korzystać tylko wtedy, jeżeli wykonuje się obowiązki. Istnieje tylko jedna grupa pracowników o jednakowych prawach i obowiązkach, niezależnie od wykonywa-

nej pracy. Wynagrodzenie zależy wyłącznie od rodzaju, ilości i jakości pracy, a nie od czyjeś widzimisię. Jednoosobowe kierownictwo wyraża się różnymi uprawnieniami, ale równocześnie zobowiązuje do zapewnienia pracownikom wysokiej wydajności pracy. Wprowadzono także — po raz pierwszy — możliwość nakładania na kierowników kar do 5 tys. zł.

Kodeks spełnia rolę organizatora, wychowawcy i ochrony dla obu stron: pracodawcy i pracownika. Każdy z nas powinien go dokładnie przestudiować. Bo jak regulować pokaźną część naszego życia według czegoś, czego nie znamy? Tylko — gdzie kupić Kodeks?

JOD

## JAJA A SPRAWA LUBELSKA

**C**ORAZ bardziej operatywny dział miejski „Sztandaru Ludu” zakończył wielką akcję prasową organizując w Klubie MPiK spotkanie czytelników gazety z dyrektorami poszczególnych placówek handlowych. W prezydium i w pierwszym rzędzie zasiadło piętnaście wysoko postawionych osób, wśród nich i prezydent miasta. Ponad trzy godziny trwały obrady. Dyrektorzy ocierali spocone czoła, tłumaczyli się, zwalając często winę na piekielne moce, a prezydent na miejscu, na oczach setki świadków, podejmował decyzje. W sumie zebrano się ich szesnaście, a wśród nich znalazła się i taka, która zobowiązuje od 1 lutego br. wszystkie jednostki handlowe do każdorazowego prześwietlania jaj przy ich zakupie. Jak wynika ze spostrzeżeń specjalnych wysłanników „Kamieny” ta ostatnia decyzja nie jest w pełni wykonywana, ale śmierzące jajka zawsze przecież mogą się przydać, aby obrzucić nimi tych, którzy pozostałych piętnastu decyzji nie zrealizują w oznaczonych terminach.

Największą rewelacją spotkania był (poważnie!) kierownik działu miejskiego „Sztandaru Ludu”, red. Janusz Malinow-

ski, kandydat numer jeden do lubelskiego studia telewizyjnego. Jest nadzieja (atutem — jego młodość), że doczeka on tego historycznego wydarzenia, a wówczas szybko odkryje go telewizja warszawska i kolejny dziennikarz odpłynie nam w siną dal. Ze studiem nie warto się więc spieszyć!

MAJ

## POMALEŃKU, POMALEŃKU...

**B**AR bistro „Maleńki”, o którym pisaliśmy w osobnym felietonie, ma teraz dwie kategorie: drugą i trzecią. Chcesz wypić koniaczek — doliczą ci marzę jak w „dwójce”, chcesz zjeść forszmaczek drobiowy — placisz jak w „trójce”. Jeśli któraś z dyrekcji lubelskiej gastronomii (niedługo dyrektorów będzie więcej niż kelnerów) zechce uruchomić bar bistro „Maciupę”, zakwalifikuje go z pewnością do kategorii pierwszej, drugiej i trzeciej. Bo im mniejsza restauracyjka, tym więcej pomysłów.

Kategoria kategorią, a tymczasem „Maleńki” rozpoczął już sprzedaż piwa. Początkowo było tylko piwko eksportowe, teraz pojawiła się i „perła”, co znacznie ożywiło atmosferę. Minie jeszcze trochę czasu i wyrośnie „żytko”. To ostatnie w stanie płynnym przynoszą niekiedy goście ze sobą, ale dzielna p. Zosia z koleżankami nie dopuszcza do profanacji zakładu. Zawołanie „pij, pij (czystą!) a będziesz łatwiejsza (y)” choć tutaj nie ma zastosowania. W naszej gastronomii widać więc nowe wiatry, ale na solidny wichur trzeba jeszcze poczekać.

MAJ

**G**armond (od nazwiska francuskiego rytownika Garamond), stopień czcionki, równy dziesięciu punktom typograficznym. (Wielka Encyklopedia Powszechna). Właśnie tą czcionką drukujemy powyższe teksty. W przyszłości ta nasza nowa rubryka w „Kamieniu” rozszerzy się i na inne strony. Prosimy czytelników o współpracę. Tematów (nie tylko krytycznych) w naszym życiu nie brakuje. Ale warunek: piszmy krótko!

# w którym żyjemy

## PANI JAY POWIEDZIAŁA „NEIN”

**S**TANY Zjednoczone pasjonują się obecnie niezwykłym wypadkiem niejakiej pani Jay, żony pastora metodystów w stanie Virginia. Pisz o tym m. in. dziennik „Washington Post”

Otóż 52-letnia Jay cierpiąca na bóle w plecach. Mąż ją zahipnotyzował, aby wniknąć jej, że nie odczuwa już bólu. Na końcu seansu zapytał: czy jeszcze cierpisz? Odpowiedziała po niemiecku: nein. Zaskoczony tym mąż — wiedział, że nigdy nie miała nie wspólnego z tym językiem i nigdy nie spotkała się z ludźmi mówiącymi po niemiecku — urządził następny seans hipnotyczny, rejestrując odpowiedzi na magnetofonie. Specjaliści stwierdzili, że jest to język, jakiego przed stu laty używano na wsł niemieckiej. Pani Jay twierdziła (podczas hipnozy), że jest reinkarnacją dziewczyny, która została zamordowana.

Pastor zwrócił się do psychologa z uniwersytetu w Virgini, dra Stenvensona. Po kilku seansach i dalszych badaniach psycholog oznajmił, że jest

to rzeczywista historia młodej Gretchen Gottlieb, która została zamordowana przez nieznanego mężczyznę w 1870 r. podczas gdy oczekiwała koło lasu na swojego ojca. Twierdzi też, że jest to niezwykle rzadki przypadek reinkarnacji, która dotarła do podświadomości 52-letniej pani Jay i przypomniał kilka podobnych przypadków, m. in. Bridey Murphy, która w transie podawała się za zmarłą w ub. wieku Irlandkę. Zwrócił też uwagę na wydaną niedawno we Francji książkę księdza Laurentisa, w której opisuje on członków sekty „wielkocnych”. Podczas seansów hipnotycznych mówią oni rzekomo dawno zapomnianymi językami, jak np. aramejskim lub hebrajskim z IV wieku p.n.e.

Inni psychologowie twierdzą, że jest to zwykłe oszustwo, lub też p. Jay przypomina sobie historię, jaką kiedyś zasłyszała lub przeczytała, a która nie pozostała w jej pamięci „na jawie”.

## 1535 OFIAR

**J**AK doniosło szwajcarskie czasopismo „Le Courrier aérien Interavia”, według oficjalnej statystyki Międzynarodowej Organizacji Lotnictwa Cywilnego

(OACI) w roku ubiegłym w 17 katastrofach lotniczych zginęło łącznie 1535 osób, niemal o 50 proc. więcej niż w roku 1973.

Z 17 katastrof samolotów pasażerskich 8 wydarzyło się w czasie startów lub podchodzenia maszyn do lądowania, 2 zaś były wynikiem sabotażu. Wskutek błędów w pilotażu lub lekceważenia obowiązujących w żegludze powietrznej rygorystycznych przepisów — co potwierdziły oficjalne sprawozdania — wydarzyły się 4 katastrofy, które pociągnęły za sobą śmierć 456 osób.

Rekord w tej smutnej statystyce należy do samolotu produkcji amerykańskiej DC-10, należącego do Tureckich Linii Lotniczych, który rozbił się we Francji koło Emernonville: 346 zabitych. Katastrofa wydarzyła w 3 marca ub. r. Drugie miejsce zajmuje katastrofa samolotu także produkcji amerykańskiej — DC-8, należącego do Holenderskich Linii Lotniczych, który 4 grudnia rozbił się koło Colombo, powodując śmierć 191 osób. Powołana później międzynarodowa komisja ekspertów stwierdziła, że w obu tych wypadkach samolotów były błędy konstrukcyjne, a w rozbitych maszynach także błędy wykonania. W rezultacie władze amerykańskie były zmuszone

nakazać fabrykom usunięcie błędów konstrukcyjnych oraz wprowadzenie bardziej rygorystycznych przeglądów jakości.

## ADORATORZY

**C**AROLINE, najstarsza córka księcia Monaco — Rainiera i jego żony, głośnej przed laty amerykańskiej aktorki filmowej Grace Kelly, skończyła 18 lat. Zgodnie z przepisami w księstwie stała się pełnoletnia i obywatelką tego księstwa oraz turyści spodziewali się, że z tej okazji odbędą się jakieś uroczystości.

Widocznie jednak oparty na dochodach z ruletki skarb księcia sporo ucierpiał na fali zachodniej inflacji, gdyż żadnych uroczystości nie było. Wszystko skończyło się na śniadaniu w gronie rodzinnym, a książkę wyjął, że Caroline zdaje wkrótce ważne egzaminy z nauk politycznych i musi się uczyć a nie bawić. Jedyną jej rozrywką jest rzekomo tylko oglądanie filmów.

Caroline należy rzeczywiście do pięknych i zgrabnych dziewcząt. W związku z tym księżna Grace powiedziała wświetskimi reporterom: moja córka otrzymuje stopy listów od swoich adoratorów, a ja już od dawna nie prowadzę cenzury. Dostaje nawet więcej listów niż ja w czasach, gdy pracowałam w Hollywood.



Fot. J. Trembecki

**P** IĘTNASTEGO stycznia 1975 roku podpisano w Lublinie porozumienie w sprawie współpracy pomiędzy Towarzystwem Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia” w Warszawie reprezentowanym przez sekretarza generalnego Towarzystwa — Wiesława Adamskiego, a Uniwersytecie im. M. Curie-Skłodowskiej, reprezentowanym przez rektora, prof. dr. Wiesława Skrzydłę. W rezultacie porozumienia uruchomiono w Lublinie Polonijne Centrum Kulturalno-Oświatowe, będące integralną częścią UMCS i działające w bezpośrednim związku z Towarzystwem „Polonia”. Konkretyzowany właśnie program Centrum przewiduje pogłębianie znajomości kultury polskiej wśród naszych rodaków na obczyźnie oraz prowadzenie badań naukowych nad problematyką polonijną. O szczegółach tego doniosłego faktu rozmawiamy z dyrektorem Centrum, dr. Władysławem Kucharskim z UMCS.

— Panie dyrektorze, zlokalizowanie Centrum w Lublinie daje nam powod do satysfakcji. Można przypuszczać, że dysponujemy dobrą kadram, odpowiednimi obiektami, sprawnością organizacyjną oraz, co w tym wypadku jest równie ważne, serdecznym stosunkiem do sprawy...

— Posiadamy także pewną tradycję i doświadczenie w sferze kontaktów z Polonią. Przypomnę że od dłuższego już czasu lubelski ośrodek naukowy bardzo owocnie zajmuje się problematyką polonijną, ujmowaną w szerokiej perspektywie historycznej, czego przykładem liczne publikacje książkowe i prasowe. Nasi profesorowie i docenci zyskali uznanie jako wykładowcy uczelni zagranicznych, europejskich i amerykańskich. Ponadto UMCS był gospodarzem zgrupowań polonijnych instruktorów i zespołów folklorystycznych, przygotowujących się m. in. do światowego festiwalu w Rzeszowie. Atutem Lublina są również rozwinięte studia pedagogiczne i kulturalno-oświatowe. Jest to moment o tyle korzystny, że nastawiamy się m. in. na kształcenie nauczycieli szkół polonijnych.

— O ile wiem, inicjatywa ta od początku miała żywe poparcie władz miejskich i wojewódzkich...

— Tak. Dużo zawdzięczamy też Wiesławowi Adamskiemu, jego zastępcy w Towarzystwie „Polonia” — Zbigniewowi Tomkowskiemu, dyrektorowi departamentu konsularnego MSZ, Wojciechowi Jaskotowi. Wiele energii w uruchomienie Centrum włożyli ponadto rektor UMCS prof. Skrzydło i prorektor docent dr. Albin Koprucki.

— Panie dyrektorze, czy Centrum lubelskie posiada jakiś szczególny charakter? Czy jego działalność będzie różniła się od tej, jaką prowadzi z myślą o Polonii uniwersytety w Krakowie, Poznaniu, Wrocławiu, organizujące wakacyjne kursy kultury i języka polskiego?

— Tak, będzie to zresztą placówką modelową, o niepomiarne szerszym programie, realizowanym permanentnie, nie okazjonalnie. Już w tym roku otwieramy studium metodyki nauczania dla ok. 40 nauczycieli szkół polonijnych, kierowanych do Lublina przez takie m. in. organizacje, jak Związek Polaków „Zgoda” w RFN, czy istniejąca w Austrii 80 lat „Strzecha”. Równolegle będą prowadzone zajęcia z udziałem 160 instruktorów polonijnych zespołów folklorystycznych. W przyszłym roku ruszy korespondencyjne studium kulturalno-oświatowe dla działaczy polonijnych oraz letnia szkoła kultury i języka polskiego.

— Wspomniał pan o szkołach polonijnych. Jak wyglądają, jak pracują te placówki? Jacy ludzie w nich nauczają, kim są ich słuchacze?

— Szkoły w RFN czynne są zazwyczaj raz w tygodniu, uczęszczają do nich dzieci, młodzież oraz lu-

niemal ćwierć wieku, do wytrwałych działaczy należy Janina Kolodziejczyk, której krewni mieszka w Lublinie. Szkoła, w której ona prowadzi zajęcia, mieści się — proszę zwrócić uwagę — w prywatnej willi Janusza Rzeźnika w Bremen, wiceprezesa zarządu głównego „Zgody”: właściciel nie czerpie z tego żadnej korzyści finansowej, można powiedzieć, że wręcz przeciwnie, bo niejednokrotnie dokłada do polonijnej sprawy z własnej kieszeni. Są to ludzie wielkiego serca, żywo reagujący na wszystko, co polskie. Nie stoi to w żadnej sprzeczności z ich lojalnością w stosunku do państwa, którego obywatelstwo noszą. Godne uwagi, że wśród działaczy polonijnych coraz częściej pojawiają się ludzie młodzi.

— Ile członków liczy Związek Polaków „Zgoda”? Był pan niedawno na stypendium w Austrii i RFN, wiec...



Zespół młodzieżowy „Krakowiak” z Hamburga, prowadzony przez Stefana Mrutka (pierwszy z prawej) Fot. H. E. Müller



Kurs języka polskiego w Düsseldorfie w 1959 r. W środku wychowawczyni Weronika Wisowa.

dzie dorobli, zlaknieni kontaktu z językiem polskim, z polską kulturą poszukujący rodowodu narodowego. Bywa, że pojawiają się również rodowici Niemcy, zainteresowani opanowaniem naszego języka. Kto naucza? W Manheim — inżynier Dreger, na terenie Westfalii-Nadrenii pedagogami są często górnicy. Metodyka zajęć opiera się na założeniu: przez zabawę do wiedzy.

— Ta kadra jest zapewne dość płynna...

— Proszę pana, indywidualne związki z ruchem polonijnym mają tendencję do trwałości. Weronika Wisowa z Düsseldorfu naucza już

około 12 tysięcy, a prezesem zarządu głównego jest Ignacy Lukaszczuk. Ta największa w RFN organizacja polonijna składa się z gromad, liczących od 80 do 500 osób. W takich miastach, jak Essen, Bochum czy Hamburg działa po kilka gromad. Z aktywistów „Zgody” warto zapamiętać nazwiska Stefana Mrutka, Michała Pajdy, Marii Karwińskiej, Wandy Jańczakowej, Franciszka Sobocińskiego, Bernarda i Hermana Szczepniaków, Stanisławy Tomczakowej, a także Wiktorii Kaczmarek, Zofii Wojtkowiak, Antoniego Kmiżika, Jana Kociołka i Hildy Handy oraz Marii Wessel, nauczycielki, Stanisława Urzyszek z Lud-

wigsburga, niegdyś więzień obozu koncentracyjnego, od lat opiekuje się grobami Polaków i osób innych narodowości, którzy stracili życie w walce z faszyzmem... „Zgoda” istnieje 25 lat, natomiast Związek Polaków „Strzecha” w Austrii dobiega właśnie do 80 rocznicy swojego pracowitego i wielce pożytecznego istnienia. Na jego czele stoi Leon Schmidehausen.

— Wiemy co nieco o polonijnej popularności zespołów folklorystycznych, co zresztą pobudza do szerszej refleksji nad żywotnością treści narodowych, zawartych w formach artystycznych, szczególnie w ludowej twórczości. Czy popularność tych zespołów przekracza krąg publiczności polonijnej?

— Proszę pana, Stefan Mrutzek prowadzi w Hamburgu zespół „Krakowiacy”, znany zresztą dobrze w Polsce ze świetnych i nagradzanych występów na światowym festiwalu folklorystycznym w Rzeszowie. I otóż ci „Krakowiacy” występują przed kamerami telewizji RFN i dają koncerty w hotelach. W ekskluzywnych hotelach.

— Polonijne Centrum Kulturalno-Oświatowe w Lublinie będzie również prowadziło prace badawcze...

— Oczywiście, ale zanim przejdę do tej sprawy chciałbym poinformować, że oprócz wspomnianych działań dydaktycznych organizujemy w tym roku, wspólnie z władzami oświatowymi, obóz letni dla

dzieci i młodzieży polonijnej. Jeśli zaś chodzi o nurt badawczy naszego programu, to obejmuje on m. in. wyjazdy stypendialne pracowników naukowych do ośrodków polonijnych, organizowane przy pomocy Towarzystwa „Polonia”. Już za kilka miesięcy pierwszy stypendysta wyruszy za granicę. Będziemy również urządzać konferencje problemowe, sympozja, spotkania z wybitnymi znawcami przedmiotu, spróbujemy znaleźć miejsce w „Annale UMCS”. Zamierzamy wydawać skrypty dla słuchaczy Centrum, chcemy opublikować informator o lubelskim ośrodku naukowym przeznaczony dla Polonii.

— Proszę o kilka słów na temat Rady Programowo-Naukowej Centrum.

— Składać się ona będzie z naukowców, działaczy społecznych, wybitnych specjalistów różnych profesji. Rada ustalać będzie główne kie-

runki kształcenia i badań w obrębie Centrum oraz sprawować będzie ogólny nadzór nad dyrekcją.

— Pan jest dyrektorem placówki...

— a zastępcą dyrektora do spraw dydaktyczno-programowych doc. dr hab. Jerzy Faliński, zaś do spraw artystycznych — mgr Stanisław Leszczyński.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał Ireneusz J. Kamiński

— To od czego panu zacząć? Od cara Mikołaja zacząć, i to nie będzie żadna kpina. Jestem powołany do wojska w marcu 1915 roku. Tak, do armii carskiej jako żołnierz z wojennego zaciągu, bo tutaj był ruski zabór. Dziewiętnaście lat miałem wtedy, jak się dla mnie historia zaczęła. O, ta torebka brezentowa na naboje, to widzi pan, ile ze mną przeszła, wypisałem w środku: I III 1915 — I IX 1921, Wiatka, Głazów, Bobrujsk, Biełgorod, Tambow, Bałasow, Bachmut, Moskwa, Samara, Ufa, Belebaj, Wilno, Niekwież, Homel, Mińsk, Smoleńsk, Baranowicze. W tym wojsku był jeden ślusarz z Warszawy, nie pamiętam nazwiska, i mnie, wiejskiego chłopaka, zaczął wciągać w rewolucyjne poglądy. Cośmy robili? Ano, agitował po cichu mnie i innych. Była wojna. Ja dość szybko zostałem podoficerem, bo znałem język rosyjski jeszcze ze szkoły, a wówczas w wojsku carskim sporo było analfabetów, więc szkoliliem rekrutów na front. Może dlatego przeżyłem w pierwszej fazie. Rewolucja lutowa zastała nas w Bobrujsku i wtedy w pułku na dobre zaczęła działać lewica. Dopóki Kiereński rządził, musieliśmy słuchać oficerów, ale zaraz po październiku myśmy ich rozbrajali, cichcem podczas snu wzięło się im nagan, szabły i naramienniki, powstawały komitety pułkowe. Ja w końcu trafiłem do Moskwy, gdzie z karabinem chodziłem w wartowniczych drużynach, wie pan, karaulnyje kamandy. I to już była władza radziecka. Potem, kiedy formowano polskie oddziały rewolucyjne, popadłem do pułku lubelskiego. Pamiętam potyczkę w Moskwie z anarchistami na ulicy Donieckiej. Podobno anarchistów najwięcej na świecie, bo ludzie władzy nie lubią, choćby nie wiem, jaka była. Ale myśmy tę potyczkę wygrali. Paru anarchistów się załobkowało w kamienicy. Wytoczyliśmy działko i rąbnęliśmy, zaraz wyszyl z rękami na kolnierzach. Byłem też na donieckim froncie przeciwko Denikinowi, Krasnowowi, aż w końcu nasz pułk, rozbity, trafił do Wilna, ono jeszcze znajdowało się w rękach radzieckich, chociaż już następowały wojska Piłsudskiego, to był rok 1919 przecie.

Tak, tak... W Mińsku ukończyłem roczną szkołę oficerską, krasnych kamandirów, później jeszcze, w 1920 roku, szkołę topograficzną. Cały czas w wojsku. Po pokoju w Rydze pozwolono wracać Polakom do kraju, ale tych, co się nadawali, zachęcali na wyższą szkołę oficerską do Kijowa. Ja po trochu miałem już dość wojażki, postanowiłem wracać na swoją rodzinną wioskę, gdzie też w 1921 roku jesienią się znalazłem. Skombinowałem przedtem jakieś zaświadczenie, że niby pracowałem w Rosji w fabryce, ale i tak policja polska i ksiądz mieli mnie z początku na oku. Więc jestem w Polsce. Rodzina w komplecie, a było nas sześcioro dzieci, ojciec i starszy brat gospodarzą na tych piaskach, gospodarka w długach, bo ojciec dokupił gruntu. Pomagałem w domu, lecz gdzie robota i utrzymanie dla wszystkich na paru morgach! Takie było powołanie. W końcu ożeniłem się z miejscową panną, obaj ojcowie dali trochę ziemi i zaczęłem gospodarzyć na własnym. Jak to w życiu. Ale zaczęła się też i od nowa polityka. Brat żony, student z Warszawy, był w KPP, więc z nim nawiązałem kontakty, później włączył się miejscowy nauczyciel i jeszcze ktoś, powstała komórka KPP-owska, dostawialiśmy biułę z powiatu, uświadamiało się ludzi, organizowało 1-majowe sprawy... Że w końcu rozwiązano KPP? Proszę pana, przez pewien czas myśmy o tym nie wiedzieli, a potem w ogóle nie uznawaliśmy rozwiązania, doły partyjne były na swoich miejscach i dalej prowadziły robotę, aż do okupacji niemieckiej. Zaraz po wyzwoleniu, w 1944 roku, wstąpiłem do PPR i miałem zadanie organizować gminny posterunek milicji w naszej wsi, którego zostałem komendantem. Raz, pamiętam, maż mojej bratanicy, pochodzący z okolicznej wioski, zrobił zasadzkę na mnie i czterech milicjantów. Uszliśmy z życiem, bo wracaliśmy inną drogą, niż przyszlismy, tak się wtedy robiło. A on już później, gdy mieszkaliśmy w mieście powiatowym, musiał się przed swoją bandą skryć w moim domu, bo namówił go, żeby się ujawnił i karabin zdał. Parę lat temu wyleciał z pociągu i zabił się, piana był, drzwi mu się pomyliły... Jeszcze trochę o tamtych czasach? No cóż, powiem panu szczerze, byłem przeciwny organizowaniu słabych posterunków milicji w terenie. Może lepiej należało tworzyć mniej komend, ale za to silniejsze, i żeby one wyjeżdżały często na akcje w teren. Było nie było, wyprzedzałem powoli te swoje cztery hektary i przeniosłem się z rodziną do powiatu gdzieś około 1946 roku. Na wsi tylko chałupa została moją własnością dotąd, spaliła się parę dni temu, przynajmniej nie muszę się już sądzić z dzierżawcami. I takie życie. Pracowałem dwa lata w cenzurze powiatowej, potem w Samopomocy Chłopskiej jako instruktor spółdzielczy i w zarządzie powiatowym, potem w Spółdzielni Inwalidów. No i cały czas w partii. Jeździliśmy zakładać spółdzielnie produkcyjne po wsiach. Chłop swoje, baba swoje, proszę pana. Można powiedzieć, że teraz materialnie na wsi ludziom się polepszyło, chociaż jak się przed wojną klóćli, tak dalej się klóćca. Za sanacji nawet rząd mówił: nasza wieś biednie się ma i pieniędzy jej brakuje. Dziś niechaj ktoś powie: wieś biednie się ma! Nie żeby się bał, ale by skłamał, choć ludzie teraz mniej pieniądze składają, a więcej inwestują w gospodarkę. A ja? Cóż ja! Mam ten domek na przedmieściu, działkę czarnych porzeczek, pamiątniki piasek. Zona mi umarła, mieszkamy razem z córką-wdową, wnuczka przy lekcjach popilnuje. Jestem na rencie, alem



# Co zostało żywe

Zygmunt Mikulski

**K**AZIMIERZ Wyka. Imię i nazwisko, które zrosło się z krytyką literacką w Polsce przez z górą czterdzieści lat. Początek tego zjawiska nastąpił w roku 1932, kiedy to ukazał się artykuł „Czas i człowiek w „Nocach i dniach”. Od tego momentu rozwojowi polskiej literatury towarzyszyła krytyczna i badawcza twórczość tego pisarza piszącego o pisarzach.

Urodzony 19 marca 1910 r. w Krzeszowicach koło Krakowa, absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kazimierz Wyka rozpoczął działalność jako krytyk. Wydawało się, że ten rodzaj twórczości całkowicie wyczerpuje zainteresowania młodego intelektualisty, tak wnikliwie towarzyszącego procesowi powstawania kierunków i orientacji artystycznych w okresie międzywojennego dwudziestolecia. Z czasem jednak okazało się, że postawa sekundanta współczesności nie wystarcza tej dociekliwej i wielostronnej indywidualności, że teren działania umysłowego musi ulec poszerzeniu. Kazimierz Wyka udał się w kierunku badań historyczno-literackich obejmujących okres polskiej literatury od czasów romantyzmu. Habilitowany na podstawie rozprawy „Cyprian Norwid, poeta i sztukmistrz” (1948), został mianowany profesorem historii literatury polskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim, był następnie jednym z założycieli, z czasem zaś dyrektorem (od 1953 roku) Instytutu Badań Literackich.

Wydawało się, że nastąpił tu rozłam zainteresowań, może nawet wyłączny zwrot ku pracy teoretyczno-historycznej, z zaniechaniem tak owocnej i tak przydatnej aktualnie powstającej literaturze działalności krytycznej. Dzieje literatury znają takie wypadki, że krytykowi nie wystarczy współczesność, że udaje się w rejony archiwów i bibliotek poszerzając tematykę, precyzując naukową aparaturę badań, ale i odchodząc równocześnie od codziennego życia literackiego rynku, a tym samym znikając z pola czytelniczej uwagi. Nie stało się to w wypad-

ku Wyki. Jest dodatkowym powodem do podziwu, że ten energiczny i bystry obserwator literackich aktualności — w najszerszej skali tego pojęcia — podwoił niejako własną osobowość wzbogacając ją o obszary refleksji, która w rezultacie przyniosła takie dzieła jak „Matejko i Słowacki” (1950), „Szkice literackie i artystyczne” (1956), „Pan Tadeusz” — studia o poemacie, studia o tekście (1963), „Wędrując po tematach” (1971). Bo w psychice Wyki-profesora nie ustalo nigdy „kuszenie aktualności”. Dawał temu wyraz szeregiem artykułów i rozpraw rozsiewanych po czasopiśmie, zbieranych następnie we wspólne okładki w wydaniach książkowych. Tak powstały np. „Rzecz wyobraźni” (1959) czy „Lowy na kryteria” (1965).

W dorobku tego badacza i krytyka znajdziemy nawet coś tak osobliwego, jak tom utworów poetyckich, tym osobliwych, że pisanych jak gdyby nie ręką autora, nie na własny rachunek i nie na własną odpowiedzialność. Mowa o „Duchach poetów podsłuchanych” (1959). Powszechnie uznaje się je za tom pastiszów, czy parodię żartobliwie przedrzeźniających maneryzmy stylistyczne współczesnych poetów. Oczywiście — jest w tym znaczna część prawdy. Wyka nie zamienia tu szkielec badacza na lirę poety. Jednakże nie sam zamiar prześmiewczy towarzyszył temu przedsięwzięciu. Wyczuwamy tu próbę wkradnięcia się w czyjąś indywidualność, przeniknięcia jej tajników na tyle, by samemu wystąpić w pożyczonym kostiumie dla celów trochę maskarady, ale też i poznania.

Zresztą Wyka podsłuchiwał nie tylko poetów. „Podsłuchiwał” w ogóle. To znaczy — zasadą jego działalności krytycznej było także dostrojenie się do indywidualności omawianego autora, by rzecz krytyczna była rozmową w duchu interlokutora, w języku jego pojęć i problemów. Nie był to krytyk „postulujący” w tym schematycznym znaczeniu, w znaczeniu jakże często prokrustowskim, według którego praktyka krytyczna polega na stawianiu wymagań i obcinaniu wszystkiego, co poza te wymagania wystaje. Dzięki temu spod pióra Wyki wyszło wiele portretów polskich pisarzy ujętych w

ich własnym klimacie, jak portrety Tuwima, Gałczyńskiego, Czechowicza, Andrzejewskiego, Uniłowskiego i innych. „Krytyk wnika w ten sposób w istotę odrębności omawianego autora, rozwija na drodze teoretycznej, antycypuje niejako proces twórczy poprzez uchwycenie wewnętrznej dialektyki dorobku. Patrzy więc na książkę jako na zespół możliwości twórczych”. Tak określa sposób postępowania Kazimierza Wyki Włodzimierz Maciąg.

Wnikliwe i czujne towarzyszenie procesom literackim w ich stadiach początkowych, a więc nowatorskich, trafne wyrażanie sprawiedliwości powstającym zjawiskom i aktualnościom, umiejętność zbliżenia tradycji historycznej do dnia dzisiejszego, zasób wiedzy pozwalający na szeroką komparatystykę i umożliwiający rozległe tło badawcze, wkład w badania polskiego romantyzmu i modernizmu — to wszystko łączy się z nazwiskiem Zmarłego w sposób nierozdzielny i to rysuje Jego indywidualność w panoramie osobistości polskiej krytyki literackiej pierwszego rzędu.

Brakowało by jednak dość istotnego rysu do wizerunku Kazimierza Wyki, gdyby nie wspomnienie o Jego zainteresowaniach pozaliterackich. „Życie na niby” (1957) to tom szkiców socjologiczno-obyczajowych o tematyce okupacyjnej, „Makowski” (1963) daje próbę orientacji Autora w sprawach plastyki, a „Podróż do krainy nieprawdopodobieństwa” (1964) zawiera wiele oryginalnych rozważań na temat filmu.

Kazimierz Wyka. Z perspektywy tej śmierci widać, że to już niepowtarzalny i skończony w swej pełni styl traktowania o zjawiskach kultury, że to indywidualność badacza i opiniodawcy dokładnie w swym wyrazie określona. Wprawdzie mogliśmy wiele oczekiwać po nieustrudzonej w pracy osobie, po żywym i owocnym talencie jednego z najwybitniejszych krytyków literackich w Polsce, ale Jego dzieło mimo przerwanych życia posiada klasyczne znamiona spełnienia. Niejednokrotnie będziemy do Niego wracać po trafny, a nie arbitralnie podany osąd, po ożywiające myśli i pobudzające ambicję inspiracje. I to wyznacza rozmiar tego zjawiska, mającego dane stale oddziaływać na rozwój polskiej literatury.

\* \* \*  
W każdej chwili:  
koniec świata następuje tylekroć  
ilu ludzi  
umiera.  
Początek świata następuje tylekroć  
ilu ludzi  
rodzi się.  
Rzeczywistość  
tworzy dopiero bilans  
zgonów i urodzin.  
Chcesz wiedzieć,  
czy miał już miejsce koniec świata?  
Sprawdź  
w roczniku statystycznym.

P. S.

Nie wierzcie optymistom  
którzy twierdzą, że  
życie jeszcze się nie zaczęło,  
początek świata jeszcze nie nastąpił,  
żyjemy jeszcze w przedświatach.

Oni robią błędne założenie,  
że  
przyjście na świat jest  
śmiercią.

W takim razie  
śmierć jest  
narodzeniem się.

Niedawno, w wieku 84 lat  
urodził się mój dziadek.  
Pokoń jego duszy.





**KAMENA PO RUMUŃSKU**



Nasi czytelnicy zapewne spostrzegli, że od dłuższego już czasu w „Kamencie” pojawia się coraz więcej materiałów z różnych krajów — ZSRR, Czechosłowacji, NRD, RFN, Francji, Anglii itd. Równocześnie redakcja nawiązuje bliższe kontakty z redakcjami podobnych do „Kamenu” pism w bratnich krajach socjalistycznych. Niedawno w tygodniku „Cronica”, ukazującym się w Jassach, z któ-

rym to miastem zarówno władze wojewódzkie jak i miejskie oraz UMCS nawiązały bliską współpracę, ukazały się dwie strony materiałów o Lublinie, opracowanych przez redakcję „Kamenu”. Powyżej reproduujemy winietę tytułową tygodnika rumuńskiego oraz pierwszą stronę „naszej” wkładki. W niedługim czasie, dla odmiany, zamieścimy materiały o Jassach, przysłane nam przez przyjaciół z „Cronici”.

**N**IEDAWNO znów mi stuknęła pięćdziesiątka: półwiecze mej pracy dziennikarskiej. Z pewnym wzruszeniem patrzę na pismo Związku Zawodowego Dziennikarzy Polskich — bo tak się początkowo po wojnie nazywała nasza organizacja, nim straciła zawodość i nim powstało Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich. Otóż w piśmie wyraźnie stwierdzono, że Zarząd Główny Związku weryfikuje mnie jako dziennikarza ze stażem od roku 1924...

A więc pięćdziesiąt lat (a ściślej — i pół) temu, 1 sierpnia 1924 roku, rozpocząłem moją zawodową pracę dziennikarską. Dostałem posadę, pierwszą stałą posadę w moim życiu, w krakowskiej redakcji „Głosu Narodu”, pisma codziennego, ukazującego się wtedy pod bardzo światłą redakcją Jana Matyasika. Dlatego piszę, że pod bardzo światłą, gdyż chociaż „Głos Narodu” był organem chadecji, to jego redaktor, wielbiciel literatury, zwłaszcza poezji, otwierał szeroko łamy pisma wszystkim pisarzom, ze specjalną sympatią traktując młodych poetów i nie zrażało go wcale, że wiersze niekiedy znacznie odstawały swą treścią od politycznej treści pisma.

Redakcja „Głosu Narodu” mieściła się w starym, zabytkowym domostwie przy ul. św. Krzyża i do dzisiaj cierpliwie deszcze zmywają nie jeden raz nakładane tynki i wydobywają spod nich napisy, które głoszą, że tu właśnie była i redakcja i administracja i drukarnia tego dziennika. Z dumą i treścią zasiadłem przy oddanym do mej dyspozycji biurku, na którym znajdowały się trzy niezbędne wtedy w pracy dziennikarskiej przybory: nożyczki, stołek kleju i pędzel... Trema moja była może i tym powodowana, że stając się „panem redaktorem” i z lubością wsłuchując się w ten tytuł, z jakim zwracano się do mnie, byłem wciąż jeszcze... uczniem gimnazjalnym. Spóźniwszy się bowiem co nieco — z różnych przyczyn — w normalnym marszu z klasy do klasy, właśnie przed wakacjami zdałem do ósmej, maturalnej klasy w gimnazjum im. króla Jana Sobieskiego. Tak więc, gdy skończył się sierpień, pierwszy miesiąc mej redakcyjnej i redaktorskiej pracy, byłem przed południem uczniem w gimnazjum, a po południu, od 14 do 20 — panem redaktorem z redakcji...

Miałem robić przegląd prasy krajowej (nożyczki) oraz prowadzić dział sprawozdań z czasopism i recenzować oddawane mi do lektury nowe książki. Ponadto pisywałem felietony literackie, a zwłaszcza wiersze. Z przepaścistej szafy wydobiałem teraz pierwsze zsywki, robione z pakunkowego papieru, gdzie wklejałem moje drukowane utwory. Jest tych zsywek potrzebny stos — na samym dole chudziutkie trzy, te pierwsze — z pierwszymi wierszami, a potem z pierwszymi pracami dziennikarskimi, tymi właśnie sprzed pięćdziesięciu lat.

Jako jedna z pierwszych — a przecież obtrzymała większość tych recenzji, notatek, felietonów straciła całkiem

aktualność i wszelką wartość, o ile w ogóle kiedykolwiek jakąś miała, nie ma potrzeby więc się nad nimi zastanawiać — otóż jako jedna z pierwszych mych prac dziennikarskich, o których warto po pół wieku wspomnieć, widnieje wspomnienie pośmiertne o Janie Żywnowskim. Kto dzisiaj pamięta to nazwisko? A przecież wtedy było ono jednym ze świetniejszych w naszej literaturze i tragiczna śmierć Żywnowskiego odbiła się wielkim echem nie tylko w naszej prasie, stała się bowiem smutną sensacją na miarę światową.

łożona zakładu dla nieletnich przestępczyni.

Taka była tragedia znanego pisarza i jego narzeczonej, tragedia, która stała się sensacją światową i spowodowała długotrwałą dyskusję na temat eutanazji. Taki też był jeden z pierwszych tematów mego sprzed pół wieku dziennikarstwa.

A jakie czasopisma omawiałem w rubryce „Ruch wydawniczy”, jak się sytuacja w tej dziedzinie wtedy przedstawiała? Otóż spotykam tytuły oma-

utwór — pisał Irzykowski w „Wiadomościach Literackich” — do jakiejś trywialnej maksymy. Lecz musi być przecież jakiś godziwy stosunek między wysiłkiem zrozumienia a wartością rzeczy zrozumianej. I dalej: Szukać dzikich metafor, obcinać węzły logiczne — dobrze, ale za tę swobodę trzeba prawdziwym złotem zapłacić i jeszcze samą treścią utworu udowodnić, że tak było naprawdę potrzebne. Esencją wywodów znakomitego krytyka było stwierdzenie, że poezja powinna być jasna, być zrozumiała.

Następnym wielkim tematem mych sprawozdań z czasopism było sprawozdanie do Polski trumny z ciałem Henryka Sienkiewicza, który — jak wiadomo — zmarł w r. 1916 w Szwajcarii. Mnóstwo ukazało się artykułów, wspomnień, wierszy, a przede wszystkim rozgorzała olbrzymia dyskusja prasowa, gdzie ma spocząć trumna wielkiego pisarza — w Warszawie, czy też jej miejsce nie byłoby w Krakowie, na Wawelu, a przynajmniej w Grobach Zasłużonych na Skalce. I następuje — w listopadzie — czołowe wydarzenie w polskiej literaturze: Władysław Stanisław Reymont otrzymuje nagrodę Nobla. Piszę o Reymontcie felieton, omawiający jego twórczość, podkreślając, że poprzedni laureat Nobla z Polski, Sienkiewicz, dostał tę nagrodę za „Quo vadis”, a więc dzieło poruszające temat o znaczeniu powszechnym, podczas gdy Reymont otrzymał ją za „Chłopów”, rzecz ściśle polską.

Mógłbym wiele jeszcze przytoczyć z owych tematów, jakimi zajmowałem się w owym pierwszym roku dziennikarstwa — ile recenzji, ile cytatów z artykułów, które wtedy wzbudzały polemiki, były sensacjami dnia. Ale zbyt to już odległe, zbyt wyblakłe. Pragnąłbym jeszcze podkreślić, że wcale nie traciłem kontaktu z moją „macierzystą” „Ziemią Lubelską”, do której wysyłałem nie tylko wiersze, ale również korespondencje z Krakowa, a więc utwory ściśle dziennikarskie. Tak kolejno pisałem w tym 1924 roku do tego lubelskiego, miłego sercu memu pisma, które nosiło już wtedy tytuł „Nowa Ziemia Lubelska”, korespondencje: „Wieczór Dalekiego Wschodu w Krakowie” (o wystawieniu w Teatrze im. J. Słowackiego przez Teofilę Trzcińskiego starożytnego rapsodu „Kagekijo” w przekładzie Krzysztofa Radziwiłła i sztuki Rabindranatha Tagore „Biuro pocztowe” w przekładzie Jana Stura), „Wystawa Legionów Polskich” (w krakowskim Pałacu Sztuki pokazano wtedy liczne obrazy i rzeźby o tematyce z pierwszej wojny i udziałem w niej Legionistów), „Występy Niebieskiego Ptaka” (znakomitego kabaretu rosyjskiego, którego wpływ przez wiele lat dawał się odczuwać nie tylko w rozwoju polskiego kabaretu i który pozostawił w Polsce jednego z czołowych swych artystów, popularnego następnie u nas konferansjera Fryderyka Jarossy'ego). To były — między innymi — tematy moich korespondencji do lubelskiego dziennika, które to zajęcia uprawiałem równocześnie z korespondencjami wysyłanymi do katowickiej „Polonii”, do „Gazety Bydgoskiej”, do „Echa Warszawy”. Pracowity był to dla mnie rok, jak i następny, w którym trzeba było przecież zdać maturę!

**ZE WSPOMNIENI**

# Tematy sprzed pół wieku

Witold Zechenter

Żywnowski, autor kilku powieści i książek reportażowych (jak „Krwawy strzęp”, „Kamienie ugorne”, „Dla Polski pod Joffrem”), współpracownik kilku pism literackich, gdzie umieszczał nowele i reportaże, zachorował nieuleczalnie. Wyjechał do Paryża, gdzie stosowano jakieś nowocześniejsze metody zwalczania złośliwych nowotworów, ale jemu już nie pomogły żadne zabiegi. Była z nim jego narzeczoną, bardzo znana i lubiana, wybitna aktorka scen warszawskich, Stanisława Umińska. Nie mogąc dłużej patrzeć na bezsilność lekarzy, widząc beznadziejność sprawy, uległa prośbom ukochanego, który błagał ją by skróciła jego cierpienia — zastrzeliła Żywnowskiego z jego wojskowego rewolweru, pisarz był bowiem w pierwszej wojnie na froncie francuskim jako „bajonczyk”, gdyż we Francji zaskoczyła go wojna.

Oczywiście aresztowano Umińską i po pewnym czasie odbył się jej proces w paryskim Pałacu Sprawiedliwości. Sędziowie przysięgli uwolnili ją od wszelkiej kary i uniewinniający wyrok, jaki na tej podstawie wydał trybunał, przyjęty został owacją na cześć biednej kobiety ze strony sali, gęsto zatłoczonej. Umińska nie wróciła na scenę — wstąpiła do zakonu samarytanek. Po latach znana była w Warszawie jako Matka Benigna, prze-

wianych numerów: „Wiadomości Literackie”, „Przyrodnik”, „Świat”, „Praca”, „Drogi Polski”, „Salon Literacki”, „Bluszcz”, „Przewodnik Bibliograficzny”, „Iskry”, „Tygodnik Ilustrowany”, „Przegląd Współczesny”, „Ilustracja”, „Przegląd Powszechny”, „Naokoło Świata”, „Ateneum Wileńskie” i wiele innych, wychodzących w różnych miastach, tygodników i miesięczników. Wielkim tematem stała się śmierć Josepha Conrada, wszystkie czasopisma poświęciły wtedy mnóstwo artykułów życiu i twórczości wielkiego Polaka, który został jednym z najwybitniejszych pisarzy angielskich. Specjalny numer wydały „Wiadomości Literackie”, wprost kopalnię conradianów z pięknymi wierszami Lechonia i Słonimskiego, z artykułami takich pisarzy jak Żeromski, Kaden-Bandrowski, Wierzyński.

Jeśli już mowa o Żeromskim, to znajduję w prowadzonej wtedy przeze mnie kronice kulturalnej wiadomość, że znakomity pisarz oddał Teatrowi Narodowemu nowy utwór sceniczny: „Uciekła mi przepióreczka”. Główne role kreować będą Malanowicz-Niedzielska i Osterwa.

Wielką dyskusję wywołał artykuł Karola Irzykowskiego o „niezrozumiałości w poezji” tzw. awangardowej. Wiem, że „rozumieć” to nie znaczy redukować



# Nie samym teatrem...

Maria Bechezyc-Rudnicka

**J**AK się rzekło (v. nr 2 „Kamery”), pierwszego wieczora w Paryżu miałam proszony obiad u małżonków Charbonnier-Kayat. Przypominam też lublinianom, że Claire-Lise Charbonnier jest autorką „Różowej róży” ostry satyry na biurokrację, stęplonej przez Teatr im. J. Osterwy nieudolnym przekładem domowej roboty.

Wspomniany już François Terral, przyjaciel i współpracownik Kayatów w „Théâtre 71”, przyrzekł zabrać mnie z hotelu o godzinie 19. Mija po niej kwadrans, drugi... Czekam jednak w absolutnym spokoju. Wiadomo — to te nieprzewidywalne korki na ulicach paryskich. O dwudziestej — pukanie do drzwi. W porządku. Nawet więcej niż w porządku, bo razem z François wchodzi jego przemila żona Jacqueline. Wsiadamy do ich samochodu, zaparkowanego — o, dziwo! — dość blisko. Albowiem nasz kompozytor i profesor Ecole Normale d'Instituteurs przy rue des Suisses celuje także w sztuce parkowania wozu, choćby się zapuścił do dzielnicy na przeciwnym krańcu miasta. W ogóle jest on kierowcą idealnym.

Mimo to w miarę zbliżania się do peryferyjnego Malakoff, który Monsieur François zna na wylot, jesteśmy cokolwiek zdani na „zgaduj-zgaduję”. Rzecz w tym, że za rok mej nieobecności w Paryżu kampania budowlana nabrała tu, zwłaszcza na peryferiach, wzmoczonego rozpędu. Dróżnicy co i raz ustawiają się niespodziewanie znaki zakazu wjazdu, a przecie i tak było już pełno ulic w zasadzie jednokierunkowych.

Dopiero około godziny 21 docieramy do Kayatów, mieszkających na 15 piętrze komfortowego wieżowca, pysznącego się swą nowoczesną urodą wśród niewyburzonych jeszcze przytulnych domków tej części Malakoff.

Francuzi zawsze umieli ładnie mieszkać i dziś nie stracili tej umiejętności. Szczególnie tacy artyści — obiecywają jak Kayatowie. Pełno u nich pamiątek ze wszystkich kontynentów. W rezultacie wymiany kulturalnej z Lublinem folklor polski jest także reprezentowany. Ba, żeby tylko folklor — jedną ścianę przedpokojem wytapetowali gospodarze efektownymi plakatami „Aktu przybranego” i „Szczęśliwego wydarzenia”.

No tak, minęło 21. Nieco późno przybycie na dinner. Ale nie ma konfuzji wobec Claire-Lise: sama nie tak dawno wróciła do domu, pracuje w bibliotece związku pisarzy. A pan dyrektor Guy Kayat na dobre ugrzązł w swoim Centre d'Animation Culturelle Malakoff, gdzie właśnie odbywa się jednodniowy zjazd czterdziestu takich jak on dyrektorów centrów krzewienia kultury z całej Francji (kończąc się ich umowy). Znamy się nie od dziś, a więc precz z ceregielami! Lise usadwia nas przy wielkim stole przestronnego living room. Nie będziemy się głodzić aż do powrotu Guy, tytana pracy, skoro ten powrót może nastąpić i o północy.

Na początek tedy nieodzowny apéritif.  
— Cinzano? Genciane? — sugeruje Claire-Lise.  
Genciane? Ki diabeł? — myślę. Trzeba poeksperymentować. Proszę: odrobinę, prawie symbolicznie. Wrzuca się do tego kostkę lodu...

Oh, ma foi, pyszności. W mig uporalam się ze swoją mini-porcycjką. Inni pociągają jeszcze tę gencjanę z wysokich cienkich pucharków. Widocznie zawiść odbiła się na mojej twarzy, bo Lise proponuje repetę. Nie ma sensu udawać antyalkoholiczkę. Gospodyni tłumaczy, że pijemy naciąg z korzeni rośliny górskiej, kwitnącej żółto. Po powrocie do Polski wyszperałam w słownikach, iż owa gencjana zowie się u nas po prostu goryczką i jest objęta ochroną gatunkową. Trudno.

Zagryzamy apéritif orzeszkami i oliwkami. Potem — menu jak menu: zupa pomidorowa, schab duszony z kartofelkami, kompot. Mogłoby być i w Polsce. Czy to nie na moją cześć? Aliści Claire-Lise wyznaje, że wszystko — z puszek. No to co, powtarzam: mogłoby być i w Polsce. Tak, moi drodzy, tylko że jeśli chodzi o smak puszkowych zawartości — wypadnie przyznać 5:1 dla Francji.

A ma się rozumieć, że wyż. wymienione menu było podlewane uczciwym czerwonym winkiem — nie z tych, za które producenci w Bordeaux mieli rozgłośny proces.

W nadziei, że nie znużyłam czytelnika moją dywagacją gastronomiczną, dodam, że po bajecznych francuskich serach gościnnie Lise wyniosła z zapleczka wielkie pudło metalowe zasobne we wszelkie porcjonowane zioła do naparów. Herbatę Francuzi również zaliczają do infusions, tylko rozsądnie nie piją jej na noc. Lise pyta, czy nie mam ochoty na werbenę. Recytuję z sentymentem:

*Le vase où meurt cette verveine  
D'un coup d'eventail fut brisé...*

lecz może by sprofanować ten wiersz poddając esencję kwiatu próbie podniebienia? Nic z tego: akurat werbena gdzieś się zawieruszyła. Zadowolamy się tilleul, tillia — pocziwą zdrowotną lipą którą cała prowincjonalna Francja pije tradycyjnie na przemian z rumiankiem.

Czas ucieka niesamowicie szybko. Claire-Lise szkicuje najbliższe projekty „Théâtre 71”. Opowiadam jej z kolei o działalności warszawskiego Teatru Ochoty, za moją bowiem namową Halina i Jan Machulscy wymienili już korespondencję z Kayatami. Jestem niejako ich *postillon... d'amitié*. Wierzę, iż dojdzie niebawem do spotkania i wymiany doświadczeń. Działalność teatralna tych entuzjastów ma tyle analogicznych elementów. Omówimy owe analogie przy najbliższej sposobności.

Zerkam dyskretnie na zegarek. O, Boże — pół do dwunastej! Jestem po 25-godzinnej podróży z Warszawy. Terralowie — po całodzienniej pracy. Wymieniamy ostatnie uściski z Claire-Lise, boha-



„Ruch” samochodowy w Paryżu. Karykatura Bretéchera

tersko ufrzywając zmęczenie. Wtem — nagły zgrzyt klucza, w drzwiach wejściowych staje spóźnialski Guy Kayat, podniecony stoczonymi dyskusjami. Werwa gospodarza udziela się rejterującym się gościom. Obsiadamy na nowo owalny stół. Guy, posilając się machinalnie, relacjonuje natomiast żywo przebieg walki z przedstawicielem ministerstwa, z kolegami-konformistami. Chodzi — bagatel! — o zamierzenia, o kredyty.

Wyznaczamy sobie z Kayatem spotkanie dla głębszej analizy spraw teatralnych.  
Było już dobrze po pierwszej, gdy zostałam odstawiona przez Terralów do mego „Nord et Champagne”. Biedacy — zanim znajdą się w łóżku, wybije druga. Całe szczęście, że o tej porze jedzie się autem z normalną szybkością.

Mimo „niedospania” budzę się nazajutrz o siódmej. Jak to nazwać? Może *Touristikfieber*? Lecz

natychmiast zapada decyzja: skoro się przyjechało tym razem prawie na miesiąc, będzie inaczej niż w zeszłym roku. Miesiąc. Dwunasta część roku. Ergo przez dwunastą część roku zamieszkuje się w Paryżu. Tedy zamiast turystycznej gonitwy za wrażeniami — dzień jak co dzień „paryżanki” (*toutes proportions gardées*). Po lekkim *petit déjeuner*, który przyniosą do pokoju, rzetelna praca: faktograficzne notowanie przebiegu poprzedniego dnia, następnie krótka konsultacja planu metra (bez nerwów!) i wyjście na miasto — załatwienie różnych spraw, trochę promenady. O godzinie 13 — *déjeuner* w popularnej restauracji przy Magenta, też lekki z przyczyn obiektywnych. Po południu kino — dla relaksu bądź jakiś szacowny zabytek — dla sentymentu (a jednak nie wykorzystanie tej potrzeby odkurzenia dawnych przeżyć). Główna zasada — nie przekarmiać się byle spektaklami. Owszem, trochę teatru, lecz z wyboru bardzo surowego i raczej niedzielne bądź sobotnie popołudniówki, by nie paść ofiarą złodziejasków piętających się niekiedy w przedłużonych kulturalnych metra. Wieczorami herbatka z *omelette nature* w pobliskim bistro (6 frs), po czym domowa lektura, obowiązkowa i nieobowiązkowa.

Oczywiście ów żelazny plan przewidywał jeszcze i wręcz faworyzował przyjemne spotkania z moimi francuskimi przyjaciółmi, od których można się dowiedzieć wielu ciekawych rzeczy o warunkach bytowych braci artystycznej. Wywiady, jakie udało mi się z nimi przeprowadzić wymagają osobnego miejsca. Chciałabym natomiast zakończyć ten odcinek relacją o spotkaniu... z rodakiem — Wojciechem Natansonem, ściśle mówiąc — o uroczystym posiedzeniu *Société Anatole France*, zaszykanowanym mi przez znanego krytyka jeszcze przed moim wyjazdem, w Warszawie.

Uroczystość Towarzystwa Anatola France'a, zorganizowana w związku ze 130-leciem jego urodzin i 50-leciem śmierci, odbywała się w monumentalnym gmachu w *Centre National des Recherches Scientifiques* przy wybrzeżu imienia pisarza. Dotarłszy tam na godzinę piętnastą, dnia 6 listopada, dowiedziałam się poniewczasie, że trafiałam już na drugie posiedzenie. Podsumowywano właśnie poranne obrady. Niemniej pozostał mi do wysłuchania bardzo dociekliwy referat o stopniu społecznego i politycznego zaangażowania twórcy „*le Crime de Sylvestre Bonnard*”, „*Histoire contemporaine*”, „*le Lys rouge*”, „*les Dieux ont soif*” i innych pełnych subtelnej ironii arcydzieł, niegdys przeze mnie żarliwie pochłanianych.

Nad tą sprawą „zaangażowania” (chodliwy już we Francji termin) potoczyła się żywa debata, nie pozbawiona krótkich śmiechów, w chwilach ścierania się przeciwstawnych poglądów zagorzale, uzbrojonych w specjalistyczną erudycję „francistów”. Claude Aveline, prezes honorowy *Société*, z wielkim taktem uspokoił wzburzone umysły przepięknym stwierdzeniem: *Ażebym ludzkość mogła się zjednoczyć, muszą ludzie zdawać sobie sprawę z ich rozmaitości. Największe niebezpieczeństwo stanowi niechęć do „dialogu”.*

Zresztą na poparcie tezy zaangażowania Anatola France'a w sprawach społeczno-politycznych przytoczył Aveline fakt otrzymania przez pisarza







**W** 157. roku powstał w Lublinie Trybunał Koronny, najwyższy sąd apelacyjny szlachty małopolskiej. Lubelska sied. Temidy nie pozostawiała jednak pozytywnych wspomnień u ludzi mających sprawy w trybunalskim grodzie. Stan taki był wynikiem „działalności” tutejszych prawników, znanych z przekupstwa, pijaństwa i oszustw. Było ich zwykle pięćdziesięciu, ale spraw zgłaszano tyle, że często trzeba było czekać kilka lat na wołanie sprawy.

Procesująca się szlachta zjeżdżała do Lublina z żonami, córkami rezydentami, całą dworską „asystencją”, co bardzo ożywiało miasto — często odbywały się wspaniałe obiady i bale. U marszałka Trybunału ucztowano w każdą niedzielę, czwartki, święta i galowe dni dworskie. Prezydent przyjmował na postne posiłki w piątki i soboty, natomiast deputaci i tzw. pacjenci (czyli klienci) występowali z obiadami i balami w poniedziałki, wtorki i środy.

Jak twierdził J. D. Ochocki, zwyczajnie te należały do tradycyjnej etykiety trybunalskiej, która z najściślejszą formalnością zachowana była. Tak więc Lublin stał się atrakcyjnym miejscem pobytu dla wielu Polaków. Ale gdyby nie istnienie sądu, mało kto zainteresowałby się zniszczonym, brudnym miastem, o którego świetności świadczyły jedynie ruiny. Lublin bowiem w owym czasie nosił na sobie smutne i nienaprawione jeszcze ślady dwóch wojen szwedzkich, rosyjskiej i ostatniej świeżej za konfederacji barskiej. Po trzykroć spalony i spustoszony, w większej połowie swego dawnego stanu był napełniony sterczącymi i opalonymi ruinami lub zasnuty gruzami i słabo się z nich dźwigał. Krakowskie Przedmieście od bramy Świętoduskiej ledwie jeden dom wielki w całości... zachowało. Ulica Grodzka w podobnie nędznym stanie. W samym rynku na wszystkich czterech polaciach kamienice po większej części puste lub w gruzach...

W związku z działalnością Trybunału przebywało w Lublinie wielu literatów, którzy przypatrując się sądownictwu i postępowaniu pracowników trybunalskich, odczuwali potrzebę ośmieszenia i skrytykowania ich, a także pieniactwa i innych negatywnych cech interesantów sądu. Przy okazji widzieli także zaniedbane i brzydkie miasto i nie oparli się chęci wykpiwania jego wyglądu. Przykładem tej osiemnastowiecznej literatury związanej z naszym miastem niech będą dwa mniej znane utwory.

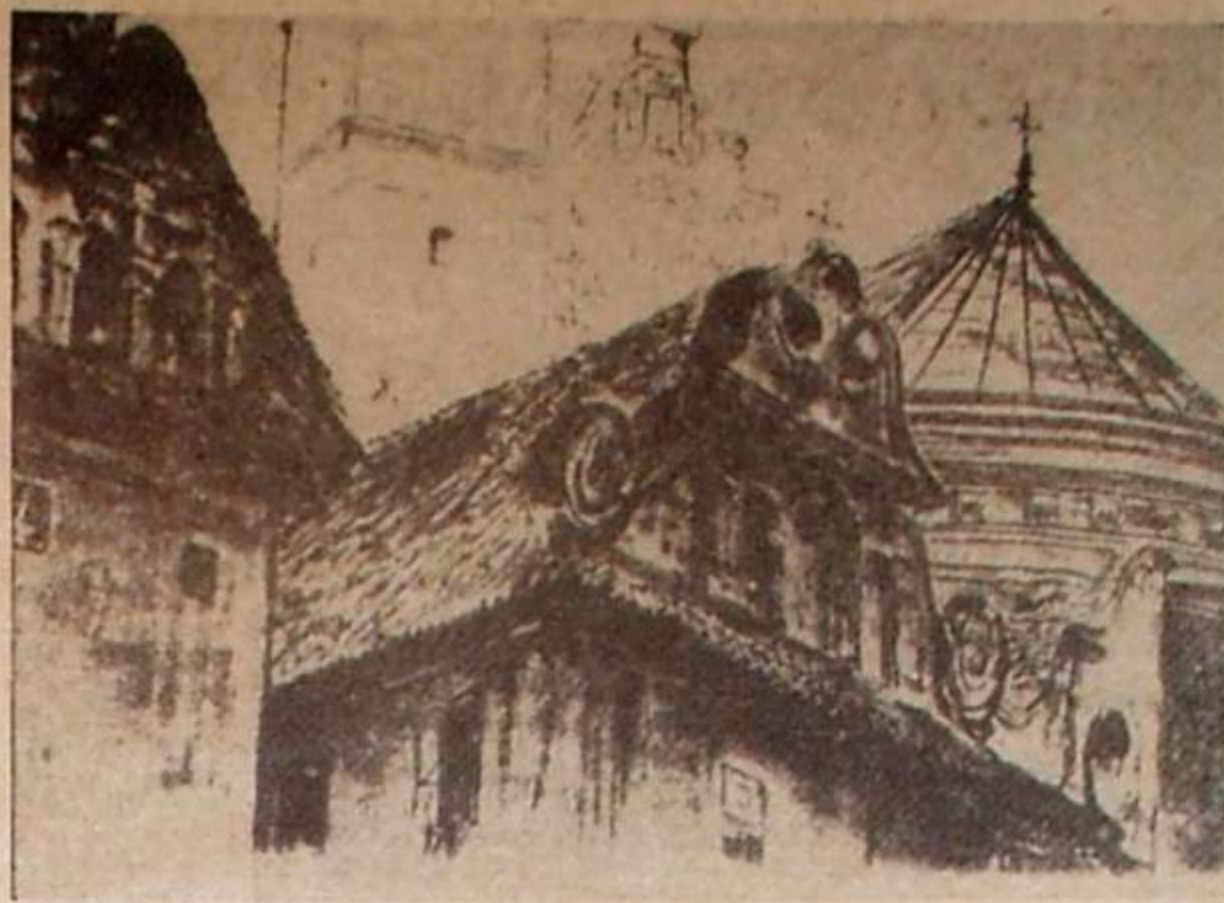
Jeden z nich, to powstały w 1810 roku pierwszy przewodnik po naszym mieście, Wincentego Kamińskiego „Przypadki lubelskie”. Podając na początku znaną legendę o rzekomym pochodzeniu nazwy miasta od złowionej ryby — szczupaka lub lina, autor opisuje daleki przedmieście:

Ma za przedmieście wzięwszy od północy  
zwaliska gruzów z domów obalonych.  
Za czasów, kiedy szkodził nam Rakoczy:  
Pomiędzy nimi kilka bud rzuconych.  
Palac starosty, zabytki przemocy,  
Gdzie się objął jęk mieszczańskich gnębionych.  
Most nowy, Żydów przy drodze dom stary,  
Co wszystko razem zowie się Tary.

Drwiąc, maluje Kamiński obraz rynku:

Rynek tak mały: iżby żółwiom mety  
W nim znaczyć...  
Wokoło rynku stoją kamienice  
jedne czerwone, w drugich kolor szary,  
Walą się inne mając kamień stary.

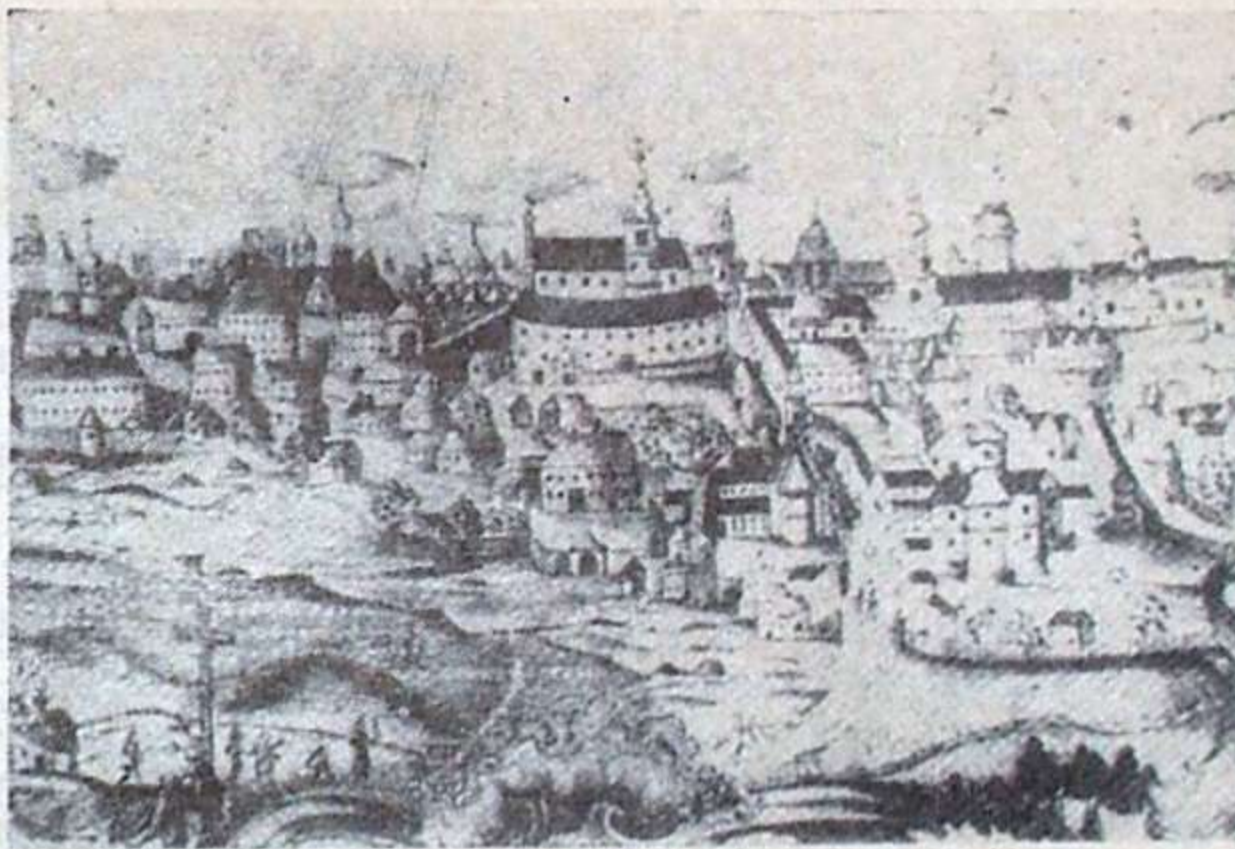
Następnie wylicza autor klasztor lubelski, krytykując przy okazji zakonników co modłami święte mniejszą próżnowanie. Krytyce świętych próżniaków służy także historia o leczeniu młodej zakonniczki przez lekarza i spowodowanie jej odmiennego stanu. Niezadowolone jego nie ominęło także i teatru.



Barokowe szczyty z XVIII w. Autolliografia z 1774 r.

## SPRAWY I SPRAWKI PRAWNIKÓW TRYBUNAŁU

Halina Kosienkówna



Widok Lublina z drugiej połowy XVIII w. (fragment miedziorytu z 1774 r. I. Maszewskiego)

Ty Moliere wystawiasz w żalobie  
I Kornelego gdzie grzebiesz w popiele  
Małyś, niedobry, sameś winien sobie

„Przypadki lubelskie” to jednak przede wszystkim ostra, złośliwa satyra na Trybunał, przedstawiony tutaj w podobnym świetle jak u I. Krasickiego. Kamiński uważa, że

Zysk, to ta ważna i jedyna przyczyna,  
Dla której wszyscy biegną do Lublina,

bo można się tu doskonale wzbogacić, pełniąc funkcję np. deputata w Trybunale. Sądzi też autor, że „Jędra Nieszgody”, o której pisał I. Krasicki w „Monachomachii”, uciekla stamtąd i wśród Ratusza lubelskiego padła”. I dalej:  
W sali co w środku tego gmachu leży,  
w sali ogromnej, mieścić sto tysięcy  
mogącej szachrajstwo, a czasem i więcej

zasiadają sędziowie. Są to: kasztelan, marszałek ten tak rozumny, iż i trzech nie zliczy i prezydent, który tak wszerz, jako wzdłuż zdaje się być równy. Są też i deputaci, juryści, którzy zgnębią niewinność, kiedy jest uboga, gdy chodzić nie zna tajną intryg drogą.

Udając zdziwienie wobec zarzutów stawianych prawnikom trybunalskim, W. Kamiński kpi:

Co tu jest złego: iż Marszałek głupi,  
A w trybunale innym przewodniczy.  
Głupiec cnotliwy, nikt go nie przekupi  
Takiego trzeba, on zbrodnię prześwicy.  
Ma Prezydenta, co oczy wylupi,  
Gdy mu kto za to dukatów naliczy  
Tak oba łączą i rozum i cnotę,  
A te złęczone wrócą wieki złote!

Kamiński bliżej zajmuje się osobą niejakiego Przebiegłego reprezentanta lubelskich prawników. Otóż pan Przebiegły udziela nauk swemu dependentowi, w jaki sposób można nie dopuścić do rozprawy. Przykładem ma być prowadzona przez niego obrona interesów bogatego szlachcica. Sławny prawnik robi wszystko, aby sprawa interesanta, od którego otrzymał mnóstwo pieniędzy, nie doszła do skutku: przekupuje woźnego wpuszcza do sali sądowej opary apteczne o przykrej woni, aby wypłoszyli sędziów i przedłużyć tok sprawy, przekupuje mniichów i ci zapraszają prawników na cały dzień na swój zjazd (kapitulę), wreszcie w trakcie toczenia się sprawy podpała chatę na przedmieściu, powodując tym

ucieczkę przerażonych sędziów i przerwanie rozprawy.

Z chwilą zakończenia kadencji Trybunału wszystko zmienia się w Lublinie:

Lublin, ów Lublin co jaśniał  
przepychem,  
Temu powagi władza dodawała;  
Gdzie zgiełk był wielki, stał się  
teraz cichym.  
Kiedy moc sędziów z czasem  
ustawała,  
Znikła obłuda puścisz się w drogę,  
Lublin odetchnął po jej panowaniu.

Samo miasto też nie podoba się Kamińskiemu, twierdzi, że jest to brudne zaniedbane miejsce, chociaż przyznaje, że był to kiedyś ładny, duży gród. Pewnym wytłumaczeniem jego zjadliwości w stosunku do miasta i Trybunału może być to, że podobno Kamiński miał kilka spraw w Trybunale, które niezupełnie mu się powiodły i to na pewno wywołało uczucie rozgoryczenia.

Inne sprawy prawników Trybunału lubelskiego ukazuje znaleziony w „Monitorze Warszawskim” z 20 XII 1775 roku utwór „Samołowka trybunalska, wierszem dawniej Jacińskim przez Antoniego Łódź Ponińskiego Wojewodę poznańskiego, polskim zaś przez Józefa Jaklińskiego Kasztelana oświęcimskiego opisana”

Otóż pewna wdowa mająca sprawy w Trybunale, widząc że sprawiedliwość wyliczyć mogą bogate dary ofiarowane sędziom, zastanawiała się długo nad sposobem zlagodzenia surowości sędziowskiej i wygranania sprawy. A ponieważ posiadała wielką urodę, i tym razem sprawdziła się zasada iż tam gdzie rozum, złoto nie dokaże, piękność ma pewnych zwycięstw awantaż. Sędziowie, zachwyceni urodą wdowy, starali się dotrzymać jej towarzystwa. Jeden z nich wprost nawet wyjaśnił, w jaki sposób może piękna dama wpłynąć na wynik interesujących ją spraw:

O jak nas wdzięki twoje cieszą!  
Którym przyznaje Trybunał  
pochwały  
Lecz wszyscy jednak sprawę twą  
zawieszają  
Dotąd, aż serc ich ochłodzisz upały.

Młoda kobieta, chcąc dać nauczkę sędziom, zaprosiła ich do siebie każdemu wyznaczając inną godzinę spotkania. Ale przedtem wykopła przed progiem zajazdu, w którym mieszkała, duży dół i przykryła go sianem. Prawnicy, spiesząc się na miłe spotkanie, wpadali po kolei do dołu. Przez noc ochłonęli z zapalu, a wydostawszy się stamtąd nad ranem przy pomocy właściciela zajazdu, przestali interesować się płochą kobietą, która naraziła ich na tyle nieprzyjemności. Oblicywali sobie tylko więcej ostrożności na przyszłość. Wdowa zaś nie czekając na rezultat wydarzenia, w strachu przed zemstą znieważonych jurystów uciekła z miasta. Autor t.k kończy „Samołowkę trybunalską”:

Polski Najwyższych Sądów  
Parlamentciel  
Jakaby w tobie Sprawiedliwość była  
Gdyby tak w każdej deputat ponęca  
Mógł być schwyconym, jak pani schwytyła  
Lubieżnych sędziów, pewnieby na wstręcie  
Zasiadającym korupcja była,  
Oni by twoją przedawali duszę  
Za podarunki na wieczną katuszę  
Echo: tak tuszę.

Jeszcze przez pewien okres działalność Trybunału rzuciła ciemne światło na miasto i jego mieszkańców. No cóż, minął bezpowrotnie czas, kiedy pisano o Lublinie tak, jak to uczynił S. Klonowicz w „Philtronie”:

Lublin, to miasto darami nieba  
darzone obficie,  
Miasto i mury szczególną się  
cieszą Boga opieką.  
Słońca promieniami Rodos przewyższają,  
żywnością Gargarę  
Kraje Feaków i gaje Alkinoosa  
sadami.

Dopiero pod koniec XVIII wieku ranga Lublina zaczyna rosnąć, a odnowione miasto staje się inspiracją do twórczości o innym już charakterze.



## Wypadek

**O**SKARŻONYCH jest dwu. Obaj posiadają nienaganną opinię. Zaden nie był wówczas pijany. Okazuje się, że nawet najpóźniejszy człowiek może zza kierownicy przesiąść się na ławę oskarżonych, a czasem nawet, niestety, i do celi więziennej. Każdy dzień spędzony w więzieniu, czy choćby tylko wyrok skazujący, staje się tragedią osobistą, rodzi psychiczne szoki i stressy. Ale prawo jest prawem, i inaczej być nie może. Tym bardziej, gdy na szosie zostaje martwy człowiek.

Był lipcowy wieczór, droga prosta, asfalt, sucha. Według sporządzonego później pisma Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej z Warszawy — „w godz. 19—21 występowało zachmurzenie niewielkie. Opadów i zamgleń nie było. Zachód słońca nastąpił około 19,35, w czasie trwania zmierzchu wyniósł około 52 minut. Widzialność notowana przez najbliższą położoną stację meteorologiczną wynosiła 15 km”. Pismo to jest troszeczkę zagadkowe, ale w tej sprawie istnieje więcej elementów, których się już nie da zrekonstruować.

Woźnica zeznaje, że wprawdzie zapadał zmrok, ale było jeszcze widno i furmanka nie musiała być oświetlona, a zresztą syn świecił na bok latarką, zaś z tyłu były światła odblaskowe. Kierowca fiata zeznaje, że było ciemno, furmankę nieoświetloną zobaczył dopiero z odległości 4—5 metrów i już nie zdążył zahamować. Biegli twierdzą, że jeśli prawdę mówi woźnica, to wina kierowcy i odwrotnie: jeśli prawda kierowcy, to wina woźnicy. Prawniczego znaczenia terminu „zmrok” nie udało się podczas rozprawy ustalić. Między biegłymi a adwokatami nie było zgody co do zakresu pojęcia „obszar niezabudowany”.

Metlik powiększyli jeszcze świadkowie. Wychodzi na to że jeśli kilku ludzi przygląda się jakiemuś zdarzeniu, to każdy widzi co innego. Była 20.10 czy 20.25? Widno czy ciemno? Kierowca fiata palił światła, czy nie palił? Jakiś świadek podobno słyszał, że kierowca fiata powiedział do swej pasażerki po wypadku: „Nie bój się, ja to wszystko załatwię”. A świadek na to: „Klepiasz pan kobietę, a tu trzeba człowieka ratować”. Który ze stojących przy szosie budynków został rozebrany przed wypadkiem, a który po wypadku (ma to znaczenie dla określenia terminu „obszar niezabudowany” i przyjęcia, czy fiat poruszał się z dozwoloną prędkością)? Najpewniejszym świadkiem (i najbardziej konsekwentnym) jest kierowca nadjeżdżającego z naprzeciwka PKS-u. Widział wypadek z odległości około 50 metrów. Fiat cały czas jechał na światłach mijania i

w pewnym momencie stuknął mocno w tył furmanki. Była 20.10, lekki zmrok.

Więc najprawdopodobniej było tak. Kierowca fiata widział z daleka furmankę i nadjeżdżający PKS. Chciał wyprzedzić furmankę, zanim nadjeżdżie PKS. Przyspieszył, ale w ostatnim momencie zobaczył, że się „nie wyrobił”, hamował, lecz odległość była za mała i „nie wyrobił się” nawet z hamowaniem. Taką wersję podał jeden z adwokatów, i ona wydaje mi się przekonująca, aczkolwiek może tu idzie o zwykłe zagapienie się kierowcy fiata?

Skoro jechał na światłach mijania, jak sam twierdzi, powinien widzieć furmankę z odległości co najmniej 40 metrów, bo taki jest minimalny zasięg tych światel. Wyliczona przez biegłych droga hamowania ma 13 metrów, przy czym mówi się tu o „hamowaniu energicznym”, czego zainteresowany mecenas nie podniósł na rozprawie, pewno przez przeoczenie. Zatem musi upaść wersja o tym, że kierowca fiata zobaczył furmankę dopiero z odległości 4—5 metrów, ponieważ była nieoświetlona. Ze była nieoświetlona — fakt, ale on ją widział lub mógł zobaczyć znacznie wcześniej.

W tym wypadku zginął człowiek 20-letni chłopak, który miał iść do wojska, popił z kolegami, wyszedł na szosę, wsiadł na przypadkową furmankę, bo chciał podjechać na piwo do sąsiedniego GS-u. Jego nieszczęście polegało na tym, że usiadł z tyłu furmanki. No i jednak, że był wtedy pijany. To okoliczność łagodząca dla oskarżonych. Woźnica i kierowca zostali przez prokuratora oskarżeni o nieumyślne spowodowanie śmierci chłopca.

Sąd wymierzył woźnicy karę roku pozbawienia wolności, a kierowcy — dwu lat. Od obu przysądził zwrot kosztów procesu na rzecz matki zabitego, która stawała jako oskarżyciel posiłkowy. Obaj też wniosły określone opłaty sądowe. Wyrok nie jest prawomocny. W ustnym uzasadnieniu sąd podał, że w warunkach zapadającego zmroku furmanka powinna posiadać przewidziane przepisami oświetlenie. I skoro nie posiada, to jest to wina woźnicy. Kierowca fiata natomiast jechał nieostrożnie i nie obserwował dokładnie drogi przed sobą, to oczywiście jego wina.

Szczególna odpowiedzialność spoczywa tu na kierowcy fiata, który posiada prawo jazdy i prowadzi samochody od 15 lat, jest społecznym inspektorem ruchu drogowego. Takiemu nie wolno się zagapić.

pom

- Pierzyna brudna — choroba
- Pies — wierny przyjaciel
- Pies wściekły — niebezpieczeństwo, ktoś szuka zemsty
- Pies laszący się — zjednanie sobie przyjaciół
- Pies szczekający — nowiny
- Psy gryzące się — niezgoda w rodzinie
- Psa zabić — stracisz przyjaźń
- Pies na polowaniu — dobry zysk
- Pies wyjący — przykre wydarzenie
- Pieśni śpiewać — radość cię spotka
- Pieśni słyszeć — dobre nowiny
- Piesić się — rozczarowanie
- Pięta — nieprzyjaciel ma złe zamiary
- Pietruszka — wtrącasz się w nie swoje sprawy
- Pieśń — złość, irytacja
- Piętno nosić — zbecześcić sam siebie
- Pigulki — niemile wymówki
- Pijak — natrętny gość
- Pijanym być — poniżenie własnej godności
- Pijawki — długi
- Pijawkę mieć na sobie — lichwiarskie procenty zrujnują cię
- Pilnik — wytrwałością zdobędziesz cel
- Pilot — odwaga w zamiarach
- Piła — z trudem zdobyta praca
- Pilka — brak ci silnej woli
- Piotun — cierpienia moralne
- Piorun — nadzwyczajna wiadomość
- Pióra czarne — smutek
- Pióra białe — honorowe czyny
- Pióra — stroić się w nie — naśladowanie nie przyniesie ci korzyści
- Pióra drzeć — nuda w życiu
- Pióropusz — rycerski czyn
- Piramida — tęsknota za czymś nieosiągalnym
- Pisać — nowiny z daleka
- Pisać liczby — kombinacje handlowe
- Pisać stalówką — pewny interes
- Pisać ołówkiem — niepomyślność
- Pirat — obrabują cię
- Piskorz — wykrętą prowadzisz grę
- Pistolet — niesnaski, gniew
- Piszczalka — kłopoty
- Piwnica — choroba, zmartwienie
- Piwnica, wpaść do niej — zasadzka, aresztowanie
- Piwnica, schodzić do niej — sam będziesz przyczyną niepowodzeń
- Piwo jasne — list miłosny, lub miła wiadomość
- Piwo ciemne — wiadomość niegroźna, ale niezbyt miła
- Piwo rozlać — nieporozumienie
- Piwonia — kobieta narzuci ci swą przyjaźń
- Plac wielki widzieć — masz przed sobą duże możliwości
- Plac sportowy — ryzykujesz wiele
- Placki widzieć — choroba
- Placki piec — przeprosiny, lub swaty
- Planety oglądać — śmierć w rodzinie
- Plamy na ubraniu — nieobyczajne życie
- Plan oglądać — pomyślność
- Plany rysować — duże możliwości
- Plaster — pomoc w cierpieniu
- Plecak — wycieczka cię czeka, może przynusowa
- Plecy — wytrwałość prowadzi do celu
- Plecy z garbem — szczęście, powodzenie
- Plecy pochylone — troski
- Pleśń — niszczenie dobytku, brak dozoru
- Pleśń koszyki — mozolna praca
- Plewy — źli ludzie obgadają cię
- Plon — dobrobyt
- Plotki — popełnisz nietakt
- Pluskwy — kłopoty, zmartwienia przez złych ludzi
- Placz — pociecha spłynie nie wiadomo skąd
- Plachta nowa — dobra opinia domu
- Plachta podarta — nierząd w domu
- Plaskorzeźba — fałszywy dobrobyt w domu
- Plaszcz nowy — dostatek w domu
- Plaszcz podarty — smutki, niepokoje
- Plaszcz wyplamiony — niegodny czyn popełnisz
- Plaszcz za duży — zbyt duża rozrzutność
- Plaszcz za ciasny — przez skąpstwo straty
- Płciowy stosunek z mężem czy żoną — zmartwienie
- Płciowy stosunek z obcym(a) — krótkotrwała radość
- Plomień jasny — szczęście i radość

Dalszy ciąg nastąpi

głównie z inicjatywy Jerzego Remera, który od schyłku lat dwudziestych pełnił funkcję konserwatora generalnego (i też ciągle narzekał na brak pieniędzy i mocy przerobowej). Po ostatniej wojnie ułożono kontynuować tradycje owego Towarzystwa, Związek Historyków Sztuki i SARP utworzył w latach 1947—1948 Komisję Opieki nad Zabytkami Przeszłości. Rezultatem jej skromnej działalności była seria popularnych pogadarek radiowych o zabytkach i zabezpieczeniu zamku w Czernsku. O powołaniu samodzielnego towarzystwa nie było mowy, nawet najwyższe autorytety kultury polskiej nie wskazać nie mogli.

Dopiero w maju 1949 roku ZG Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego powołał Wydział Społecznej Opieki nad Zabytkami Przeszłości, na jego czele lokując J. Witkiewicza. Wiceprzewodniczącym wybrano St. Herbata, a sekretarzem — S. Szumańskiego. Wtedy właśnie sformułowano madre hasło: „Każdy zabytek ma swojego społecznego opiekuna”. Po połączeniu PTK z Polskim Towarzystwem Turystycznym (1950 r.) co dało PTTK, wydział zdegradowano do Komisji ze St. Herbstem na czele. „Początkowo PTTK zaczęło nowy rozdział kroniki społecznej opieki nad zabytkami” — stwierdził radośnie S. Szumański w jednym z numerów „Ochrony Zabytków” z 1951 roku. Jego proroctwo nie sięgało przecież daleko.

IJK



Rys. L. Szalecki

## UWAGA CZYTELNICY!

### Listy miłosne (współczesne)

Po zakończeniu druku naszej powieści „Smak miłości i lez”, drukowanej w autonomicznej rubryce „Poste restante”, startujemy w następnym numerze z nową stałą pozycją: „Współczesne listy miłosne”. Zapraszamy do współpracy naszych czytelników (czytelniczki), którzy takie listy zbierali lub zbierają. Warunek — listy muszą być autentyczne i pochodzić z ostatniego trzydziestolecia. Zachowujemy pełną anonimowość!





